

W kamiennym pierścieniu

SZEDŁ sobie najspokojniej, powłóczęc oczami po tych cudnych i cudacznych rzeczach, których może póki życia nie miał już oglądać, gdy znieńcka ozwały się za nim wesołe przygrywania i szmery posuwiste, jakoby od nadciągającej cizby. Obejrzał się, przystanął – a tu z bocznej przecznicy płynie orszak strojny z kapelą na czele. Przodem i dokoła – jak to zwykle w podobnych razach – wali tłum ciekawej gawiedzi. Wnet się też zrobiło tak ciasno, że pan Kazimierz musiał co prędzej ustąpić pod ścianę. Wprawdzie ulica nie należała bynajmniej do wąskich, ale jak wszystkie główne ulice Gdańska była z obu stron zastawiona dwoma szeregami dużych ganeków, czyli raczej tarasów, które głęboko wrzynając się w jej koryto, szczupły tylko przepływ zostawiały dla jezdnych i pieszych.

Oparł się o podmurowanie jednego z onych tarasów, a że był słuszny, mógł ponad głowami dobrze widzieć przeciąganie wesela, bo zaraz poznał, że to weselny orszak.

Naprzód, po trzech rzędem, szli grajkowie dmący w trąby, piszczałki, fletnie i różne inne fujary takie pokręcone, takie pozawijane, jakby jakie świeciste węże.

Potem szła gromada młodych ludzi dość suto wyglądających. Buty miękkie, lejkowato rozwarte. Ubiory obcisłe, o bufiastych rękawach, niby pozszywane z pasów dwubarwnych w podłuż popękanych i nasianych sterczącymi wypuszczkami. U jednych krezy okrągłe, u dru-